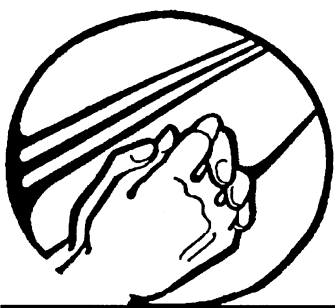




NIE SAMYM CHLEBEM...

Biuletyn Okolicznościowy
Parafii p.w. Stygmatów św. Franciszka z Asyżu w Bronowicach Wielkich

nr 18

1999

WIELKANOC

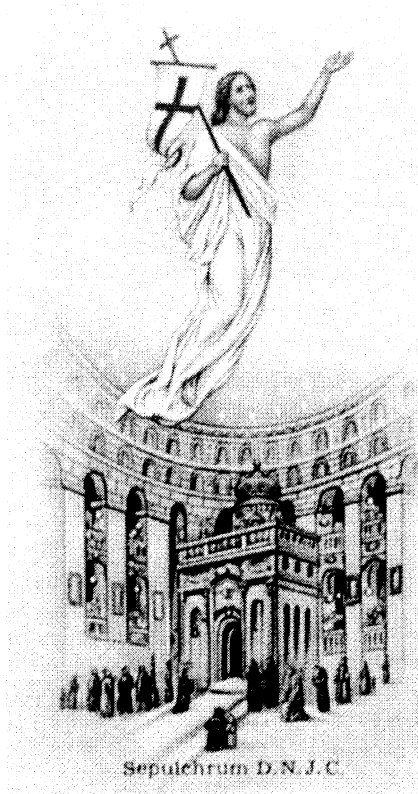
ZMARTWYCHWSTAŁ PAN

*Pan rzeczywiście zmartwychwstał
Alleluja!*

*Jemu chwała i panowanie przez
wszystkie wieki.
Alleluja!*

Już niemal XX wieków rozbrzmiewa radosne Alleluja, głosząc światu: ZMARTWYCHWSTAŁ PAN, ZMARTWYCHWSTAŁ UKRZYŻOWANY, zwycięstwo odniosła PRAWDA i moc BOŻA, dokonało się odkupienie ludzkości.

Święto Zmartwychwstania Pańskiego jest świętem nadziei. Ta nadzieja utwierdza nas w przekonaniu, że jeśli Chrystus zmartwychwstał to i my zmartwychwstanimy. Miłość odniosła ostateczne zwycięstwo nad ludzką słabością, niedoskonałością i zawziętością. Miał rację św. Paweł, który w liście do Koryntian napisał znamienne słowa: „Jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, próżna jest nasza wiara, próżne jest nasze przepowiadanie”. Ale Chrystus zmartwychwstał prawdziwie. Lecz mimo to, trudno było pierwszym świadkom zmartwychwstania uwierzyć w tę prawdę. Maria Magdalena, gdy zobaczyła pusty grób,



oświadczyła: „Zabrano Pana z grobu i nie wiem, gdzie go położono”. Ani jej przez myśl nie przeszło, że Jezus mógł zmartwychwstać. Dopuszczała wszystkie inne możliwości do siebie, tylko nie zmartwychwstanie. Podobnie postąpił Piotr. Zobaczył pusty grób i milczał. Trzeba było dopiero Jana, który momentalnie zobaczył wszystko i uwierzył. Taka

była reakcja pierwszych świadków zmartwychwstania.

A jaka jest dziś moja reakcja? Podziękujmy Jezusowi za to, że dla nas umarł i zmartwychwstał, że zmartwychwstaniem swoim otworzył w naszym życiu nowy rozdział, że nappełnił nas dziś nadzieją ostatecznego zmartwychwstania. Kiedy podczas Mszy św., w której uczestniczymy, kapłan ukaże nam hostię świętą, pomyślimy o tym, że to jest ten sam Chrystus, który kiedyś za nas cierpiał, umarł i zmartwychwstał, i który pragnie być dla nas zawsze Drogą, Prawdą i Życiem.

Rokrocznie w wiosenną noc i wiosenny poranek bicie dzwonów i echa radosnego ALLELUJA rozbrzmiewają po całej ziemi, oznajmiają nam ową prawdę, która pozwala nam się weselić i patrzeć, nawet przez łzy cierpienia, z radością w świetlaną przyszłość.

Tej radości, wypływającej z wiary w ZMARTWYCHWSTAŁEGO CHRYSZTUSA życzymy sobie nawzajem.

„WESOŁEGO ALLELUJA”

O. Jacek Koman

DWIE PIEŚNI WIELKANOCNE

Wśród licznych pieśni, śpiewanych w okresie Wielkanocy dwie należą do najstarszych pieśni polskich.

1. **Chrystus zmartwychwstan jest** – Nam na przykład dan jest – Iż mamy zmartwychpowstać – Z Panem Bogiem królować – Alleluja!

2. **Przez Twoje święte Zmartwychwstanie**, Boże Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie – Wierzymy, iżś zmartwychwstał, żywotś nasz naprawił, z śmierci wiecznej nas zbawił – Swoją świętą moc zjawił.

Utwory powstały w XIV wieku lub może nawet wcześniej. Wzorem dla pierwszej z nich jest trzecia strofa łacińskiego hymnu *Deus omnipotens*, nie wykluczone też, że na powstanie utworu miała wpływ również niemiecka pieśń *Christ ist erstanden*. Najdawniejszy zapis pochodzi z roku 1365 z graduła katedry plockiej, przepisano go przez Świętosława z Wilkowa. Rękopis, niestety, zaginął podczas ostatniej wojny. Liczne późniejsze poszerzone wersje pokazują, że pieśń cieszyła się dużą popularnością, śpiewana była w okresie świąt Wielkanocy, zwłaszcza w czasie procesji rezurekcyjnej. Poniżej podano tekst tego najdawniejszego przekazu w oryginalnej średniowiecznej pisowni i w transliteracji (cyt. za W. Wydra, W. R. Rzepka, *Chrestomatia staropolska*, Wrocław 1984, 237–8):

Xps zmartwich wstał ge.
ludu przicład dał ge.
esz nam zmartwich wstaci
Sbogem croleuaci kyrie.

Krystus z martwych wstał je,
Ludu przykład dał je,
Eż nam z martwych wstaci,
Z Bogiem krolewaci.
Kyrie <eleison>.

Drugi utwór znany jest z dziewięciu przekazów średniowiecznych, wśród których można wyróżnić trzy redakcje. Najdawniejszy przekaz pochodzi z 2 połowy XV wieku. Tekst śpiewano podobnie jak pierwszy w okresie Wielkanocy i obowiązkowo podczas rezurekcji:

Przes tve swyānthe zmartwy wsthanie
bozy ssynv odpuszcys nam nasche zgrzeschenie
thy yes then swyath ssām sławyl
zywothes nass naprawyl
szmyerczys wyeczney nass zbawyl
szwās mocz zgyawyl



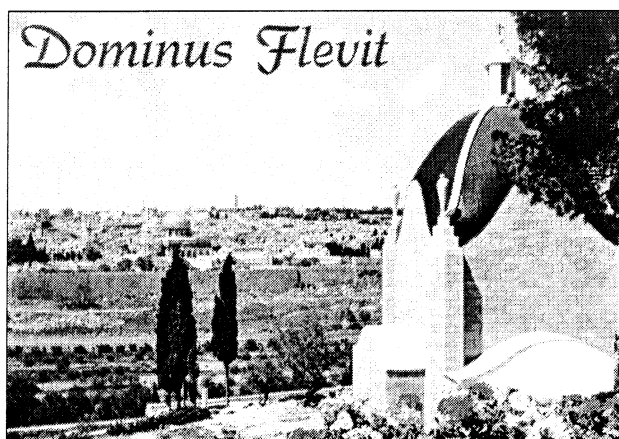
Przez tve święte z martwy wstanie,
Boże Synu, odpuść nam nasze zgrzeszenie.
Ty jeś ten świat sam zbawił,
Żywot-eś nasz naprawił,
Śmierci-ś wiecznej nas zbawił,
Swą-ś moc zjawił.

Nietrudno zauważyć, że język obu pieśni nawet w najnowszej wersji jest mocno archaiczny. Może dla młodszych pokoleń nawet momentami niezrozumiały. Ale przecież właśnie dlatego mają one swój niepowtarzalny urok, świadczą o trwałości i ciągłości naszej wiary. Na ich przykładzie widać także, jak zmieniał się nasz język. Oczywiście, naturalną kolejną rzeczą będą pojawiać się nowe pieśni, także o Zmartwychwstaniu Pańskim. Chodzi jednak o to, aby nieprzerwanie w czasie procesji rezurekcyjnej te średniowieczne, proste a zarazem piękne radosne słowa rozbrzmiewały w całej Polsce jednym wspólnym polskim głosem, sławiąc zwycięstwo Życia nad śmiercią, Dobra nad złem.

Adam Fałowski

Piszą do nas

O. Franciszek Wiater



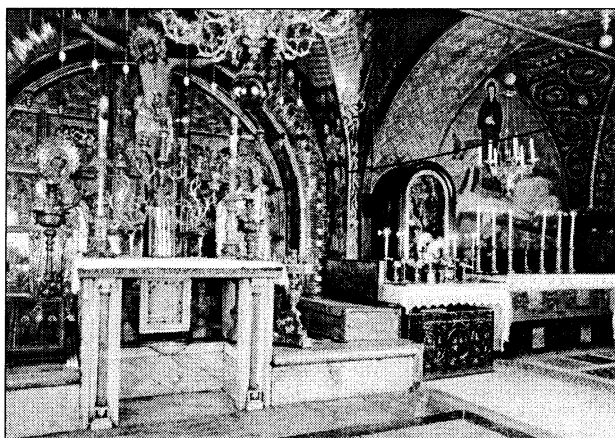
Dominus Flevit
(zob. Łk 19,41-44)

Na pierwszym planie kościół upamiętniający płacz Jezusa nad Jerozolimą. W tle widok na Jerozolimę.



„Odtąd ludzi łowić będziesz...”

Jezioro Galilejskie (lub Tyberiadzkie, Genezaret, Jezusa) można nazwać największym Sanktuarium Świata. Liczy ono ok. 21 km długości, 12 km szerokości i 48 m głębokości, a jego powierzchnia wynosi 144 km². Jezioro Galilejskie znajduje się 210 m poniżej poziomu Morza Śródziemnego. Przez środek Jeziora przepływa rzeka Jordan. Jezus Chrystus uświęcił Jezioro Tyberiadzkie swoją obecnością. Dokonał w tym miejscu wiele cudów, przemierzył je z jednego krańca na drugi. Głosił Słowo Boże tłumom gromadzącym się wzdłuż

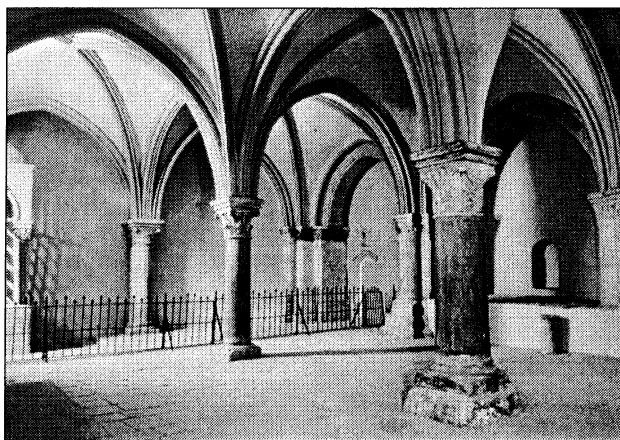


Kalwaria – miejsce ukrzyżowania Pana Jezusa.

„Nikt nie ma większej miłości nad tą,
kto życie swoje oddaje za przyjaciół swoich...”

„Za nas Jezus Chrystus umarł, gdy byliśmy
nieprzyjaciółmi...”

Codziennie o godz. 16 mamy procesję na Kalwarię i po Bazylice, wraz ze śpiewem pieśni i okadzeniami miejsc upamiętniających Mękę, Śmierć i Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Można powiedzieć, że są to jakby „Gorzkie Żale” poszerzone o tajemnicę Zmartwychwstania.



„Bierzcie i jedzcie...”

„To jest nowe przykazanie – abyście się
wzajemnie miłowali...”

Obecnie Wieczernik jest w rękach Państwa Izrael. W dolnej części (parterowej) jest wykonany „Grób Dawida”. Górna część – na zdjęciu – to właściwy Wieczernik. Dwa razy w roku, w Wielki Czwartek i na uroczystość Zesłania Ducha Św., udajemy się procesjonalnie do Wieczernika na krótką Liturgię Słowa.

BUKSZPAN – KRZEW WIELKANOCNY

Odkąd sięgam pamięcią był zawsze obecny podczas Świąt Wielkanocnych. Przysstrajano nim koszyczki ze święconym, zdobił także stół w czasie uroczystych posiłków świątecznych. Przy moim rodzinnym domu w małym ogródku rosły dwa krzewy bukszpanu, wieczne zielone. Nikt nie zwracał na nie uwagi przez cały rok, nie zakwitały nigdy, były zwyczajne, pospolite. Tylko w jednym dniu, w Wielką Sobotę, kręcili się wokół nich ludzie; nie tylko domowni-

cy. Wielu sąsiadów, którzy bukszpanu nie hodowali, zjawiało się wtedy, aby uskubnąć kilka gałązek. Starczało dla wszystkich. Mocno okaleczone i przerezione krzewy, szybko wszakże regenerowały się, w następnym roku znów pyszniły się gęstością i zielonością gałązek, znów dostarczały materiału dekoracyjnego i znów były w centrum zainteresowania.

Podczas każdego święta kościelnego społeczność, wśród której się wychowywałem wykorzy-

stywała w celach obrzędowych jakąś roślinę, ale zwykle taką, która była w zasięgu ręki. Jodłowa lub świerkowa choinka stała w domu w okresie Bożego Narodzenia. W Zielone Świąta zdobiliśmy drzwi i okna domów gałęziami brzozy, podobnie ołtarze na Boże Ciało. Nasz odpust parafialny przypadał na święto Matki Boskiej Zielnej (15.VIII), więc kościół mienił się barwami letnich łąk i ogrodów. Także Wielkanoc upodobała sobie niektóre rośliny rodzime, ale to było na południu

Trzeba mieć dużo odwagi, taki urok naszych czasów, żeby w tym naszym zwariowanym świecie zachować odrobinę człowieczeństwa. Dlaczego? Bo teraz trzeba być twardym, nieustępliwym, dążącym do celu, no może nie po trupach, ale po kalekach to już na pewno. Takie myśli nachodzą człowieka pod koniec dnia, bo koniec dnia jest jak koniec wieku, a koniec wieku jak koniec tysiąclecia, i pech chce, że wszystkie te nieszczęścia mam wokół siebie w tej właśnie chwili. Czy można sobie wyobrazić lepsze podłoże do na wskroś pesymistycznych rozważań?

Mówię o odwadze takiej, która pozwala zachować indywidualność, własne spojrzenie i własne zdanie. Która powoduje, że nie idziemy jak te przysłowiowe cielęta, bezkrytycznie przyjmując narzucane nam poglądy i formy zachowań. W tym miejscu mała dygresja. Atmosfera nocy powoduje, że nasz skołatany umysł na skutek najzwyklejszego w świecie zmęczenia, bez ładu i składu łączy myśli lub obrazy w abstrakcyjne wzory stawiając wszystko

"DYŻURNY FELIETONISTA"

Janusz Konik

na głowie. A jak mawia mędrzec: warto niekiedy postawić świat na głowie, by przyjrzeć się mu z całkiem innej perspektywy.

Taki jest rzeczy porządek, że świat który nas otacza podlega ustawicznym zmianom. My zanurzeni w codziennych naszych sprawach niezauważalnie, acz sukcesywnie zmieniamy się wraz ze światem. Już nie całuje się kobiety w rękę, boć to przecież niehygieniczne, za to podaje się rękę komuś kogo dawne zasady nakazywały ignorować. Z zażenowaniem patrzymy na kogoś, kto nie wstydzi się przeżegnać przechodząc obok kościoła (a przecież jeszcze nie tak dawno takie zachowanie było normą w Bronowicach), za to do rozpuku śmiejemy się z faceta, który w ferworze wyrażania własnych uczuć ukłonił się premierowi niezbyt taktownie (tą głową, na której nosi spodnie)



i nie czujemy nawet niesmaku (mam nadzieję, że przynajmniej ten sposób okazywania uczuć nie przyjmie się w Bronowicach). Głośno wyrażamy zdziwienie, że dorośli ludzie, gdzieś tam w świecie nie mogą się dogadać i toczą ze sobą wojny, wojny, które zawsze najboleśniej uderzają w najbardziej bezbronnych i niewinnych, a sami toczymy boje z sąsiadami o każdy metr kwadratowy podwórka, sami walczyliśmy z własną rodziną o każdą złotówkę należnego nam majątku, często nie czekając nawet, aż spadkoda-

(Sądeczyzna), w Krakowie tego chyba nie znano. Leszczynowe pręty, które wycinaliśmy bez litości służyły do konstruowania długiego drąga, wokół którego obwiązywaliśmy pęki z trzciny (nazywaliśmy ją palmą) przetykane baziami, a następnie przystrajaliśmy kolorowymi wstążkami z bibuły. W Niedzielę Palmową nieśliśmy paradne „wiuchy” do kościoła do poświęcenia. Potem z leszczyny, palmy, wstążek majstroowało się (w Wielki Czwartek) krzyżyki, przybijając je następnie w Wielką Niedzielę nad drzwiami domów, wtykając do pól, aby chroniły przed nieszczęściem i zapewniały dobry plon.

Wśród tej bogatej kolekcji roślin towarzyszących polskim świętom chrześcijańskim zdomował się obcy przybysz, krzew zamorski, *Buxus*, o drobnych, eliptycznych, skórzastych, zimnozielonych liściach. Według „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej”, Warszawa 1963 (t.II, 213): „obejmuje około 30 gatunków jednopiennych drzew lub krzewów występujących w obszarze śródziemnomorskim, w Azji Wschodniej i Ameryce Środkowej”. W Polsce najczęściej uprawiany jest buksz-

pan zwyczajny (*Buxus sempervirens*), krzew pochodzący z obszaru śródziemnomorskiego.

Jak zapodaje wszechwiedzący A. Brückner („Początki i rozwój języka polskiego”, W.1974, 371), termin wraz z rośliną przybył „z mnichami, benedyktynami i cystersami”. A zatem najpierw krzew ów ozdobił zapewne ogrody przyklasztorne. Trudno jest ustalić czas sprowadzenia rośliny do Polski. Wymienione zakony są najstarszymi w Polsce: benedyktyni od 1006 r., cystersi – od 1140 r. Czy wraz z nimi bukszpan osiedlił się w naszym kraju?

Językoznawcy (np. Andrzej Vincenz) badający najstarsze świadectwa pisane, w tym kroniki łacińskie, nie są przekonani, że bukszpan znany był w Polsce w XIII w. Słowo w polszczyźnie ma dokumentację (2 przykłady) dopiero z końca XV w., w tym jako nazwa osobowa (przezwyko): *Stanislaus Buxpan* (1472 r.). „Słownik polszczyzny XVI w.” zaświadcza 10 przykładów użycia tego wyrazu w różnych wariantach graficznych, sprowadzających się zasadniczo do postaci *buks(z)pan*. Czesi mają świadectwa już z XIV wieku jako *pušpan/bušpan*. Do



Bukszpan

czeskiego wyraz trafił od Niemców, gdzie znana jest jeszcze starowysokoniemiecka postać *puhspoum* (człon *puhs* przejęto z łac. *buxus*) z okresu, gdy plemona germańskie napływały na samo południe obecnego niemieckiego obszaru językowego, gdzie bukszpan rośnie dziko (Szwajcaria, Tyrol południowy). Dzisiejsza forma niemiecka *Buchsbaum*, pisana jeszcze w XVI–XVII w. *Buxbaum* (drugi człon złożenia *Baum* oznacza ‘drzewo’) polega na późniejszym upodobnieniu do formy łacińskiej *buxus* (pierwszy człon).

Wynika więc, że polska nazwa powstała w wyniku skrzyżowania formy czeskiej (*pu*)špan z niemieckim zlatynizowanym *buks-* (może już z nowszej postaci *Buchsbaum*).

Dalszych wywodów językoznawczych nie ma tu sensu streszczać, są one bardzo zawiłe. Można je podsumować krótko: w powstaniu polskiej nazwy *bukszpan* udział mają 3 języki: łaciński, niemiecki i czeski. I to nam wystarczy.

Jeszcze tylko mały apel: wierni tradycji przystrójmy gałązką bukszpanu stół świąteczny na Wielkanoc, a na pytanie naszych pociech – jeśli takowe padnie – co to za roślina, skąd się wzięła i dlaczego tak się nazywa zareagujmy, wręczając im numer biuletynu do przeczytania. Bo młodzież ostatnio czyta mało i niechętnie.

Adam Fałowski

wca opuści ten padół łez. Wielkanocne, rodzinne śniadanie zastępujemy oglądaniem telewizji, a na zrobienie sobie dyspensy od rygorów Wielkiego Piątku potrafimy znaleźć coś koło tysiąca sześciuset pięćdziesięciu ośmiu powodów.

Taki jest rzeczy porządek. Wiem, tylko dłaczego coraz częściej czujemy się jak ten krasnoludek, który nie dość, że sam różowy, to jeszcze cały na różowo ubrany, wychodzi przed swoją zieloną chatkę, rozgląda się po całym otaczającym go zielonym świecie i mówi: kurcze, no ja chyba nie jestem z tej bajki.

PS. Życzę wszystkim wesołych, spokojnych i przede wszystkim zdrowych świąt.

Jeszcze tylko jedna uwaga. Przechodząc ostatnio przez Bronowice usłyszałem jak jedna Pani prosiła swego męża, by ten zrobił wreszcie porządek w graciarni. Pani kochana, a i wszystkie panie kochane w całych Bronowicach błagam was, coś takiego jak porządek w graciarni nie istnieje! W definicję takiego pomieszczenia wpisany jest twórczy nieład, siłą rzeczy więc porządku w nim nie ma, nie było i nigdy, ale to nigdy nie będzie. Taki jest rzeczy porządek, Amen.

Świat postawiony do góry nogami

Nowa Zelandia jawiła nam się niby raj na tej ziemi – i to nie tylko ze względu na niepowtarzalne piękno przyrody tam występującej, ale także dlatego, iż trudno było się tam dostać. Aby rozpocząć podróż po antypodach, musieliśmy przelecieć blisko 20 tys. km (równa się to połowie obwodu kuli ziemskiej), co zajęło nam 25 godzin, nie licząc czasu spędzonego na lotniskach w Londynie i Kuala Lumpur, w oczekiwaniu na kolejną przesiadkę. Gdy wreszcie wylądowaliśmy w Auckland, myślę, że mieliśmy dość latania na co najmniej... 3 tygodnie, czyli akurat do planowanego czasu powrotu.

Na lotnisku „przywitał” nas duży, dwujęzyczny napis: *Kia ora* w języku Maorysów, czyli rdzennej ludności nowozelandzkiej, znaczy to samo, co *Welcome* w języku Anglików, stanowiących większość zamieszkujących tu emigrantów. Mimo tak przejawionej gościnności ze strony gospodarzy, musieliśmy spędzić jeszcze 2 godziny na lotnisku z powodu szczegółowej kontroli bagażu. Taką drogę przechodzi każdy, kto ze sobą przywozi używany namiot, buty turystyczne z „protektorem”, wełniane odzienie, albo kto przez ostatni miesiąc przebywał w lesie, na farmie, kto miał kontakt ze zwierzętami dzikimi lub hodowlanymi itd. itd. Cała lista pytań, na które przyjezdny musi odpowiedzieć, wydaje się dość dziwna. Jednak procedura taka nie jest przejawem wścibstwa gospodarzy, ale ich obawą przed niekontrolowanym wwiezieniem nasion, lub innych organizmów żywych, które mogłyby naruszyć równowagę ekologiczną wysp. Jeśli przypomnimy sobie, jaką plagą stały się króliki przy-

wiezione do Australii, nie będziemy się dziwić tym przewencyjnym zachowaniom Nowozelandczyków.

Ponieważ mieliśmy ze sobą namiot i buty noszące znamiona ostatniej wyprawy w Dolomity, musieliśmy przejść przez ten „czyszciec”, co polegało na poddaniu dezynfekcji „podejrzanych” przedmiotów. A gdy wreszcie zostaliśmy „oczyszczeni”, bramy rajy zostały nam otworzone...

Nowa Zelandia jest krajem, w którym opady atmosferyczne są największe na świecie. W fiordach, najbardziej mokrej części Wyspy Południowej, roczna ilość opadów wynosi ok. 7000 mm (dla porównania w Tatrach spada rocznie ok. 1300 mm deszczu). W wielu przewodnikach czytaliśmy, że bardzo przydatną rzeczą jest tutaj okrycie przeciwdeszczowe. Zaślepieni wiarą w swoje szczęście do ładnej pogody, nie dopuszczaliśmy myśli, że mogłoby padać przez cały nasz pobyt. Kiedy jednak rankiem trzeciego dnia wciąż „lało”, a w naszym samochodzie rozładował się akumulator, zaczęliśmy się zastanawiać, czemu nowozelandzki celnik dziwił się, że przyjechalśmy akurat do jego kraju, gdy większość Europejczyków poprzestaje na bardziej popularnej Australii, do której jest i bliżej i taniej i... może wiedział coś, o czym my nie mieliśmy pojęcia?

Przełomowy moment nastąpił w chwili, kiedy nasz samochód został naprawiony. Deszcz przeszedł w mżawkę, mgła zaczęła opadać, a w niedługim czasie, wśród chmur pojawiło się słońce. I tak już było przez większą część naszej podróży, gdyż jak się okazało, trafiliśmy na najbardziej suchy rok w Nowej Zelandii.

Deszcz wydaje się rzeczą absolutnie zbędną w czasie wakacji, ale to właśnie jemu, a także łagodnemu klimatowi, Nowa Zelandia zawdzięcza bujność roślin tu występujących. Poza surowym krajobrazem alpejskim Wyspy Południowej nie ma skrawka ziemi, który nie byłby zielony. Często tu spotykane lasy deszczowe, z olbrzymimi paprociami drzewiastymi zwanymi *ponga*, mają tak gęste poszycie, że nie sposób poruszać się po nich poza wytyczonymi szlakami. Łagodnie falujące pagórki, pokryte aksamitnie zieloną trawą, stanowią krainę szczęśliwości dla 60 mln owiec, których jest blisko 20 razy więcej niż samych mieszkańców wysp.

Na szczęście już przy ładnej pogodzie – i sprawnym samochodem – udaliśmy się w okolice Rotorua, miejsca aktywności geotermicznej. Wakarewarewa, w skrócie Waka (pełnej nazwy: *Te Waka-weraweratangaoteopetauaawahiao*, ze zrozumiałych względów raczej nikt nie używa), oraz Waio-tapu, są to dwa obszary największego nagromadzenia gejzerów, gorących źródeł, smrodliwych



Bujna roślinność, to efekt często padających deszczów



Milford Sound uważany jest za najpiękniejszy fiord w świecie

wulkanów błotnych, tarasów trawertynowych. Tutaj czuje się, że ziemia żyje. Słychać bulgot gotujących się błot i wrzącej wody, odgłosy wybuchających gejzerów, syk pary wodnej uchodzącej wąskimi korytarzami z ziemi, czuć zapach siarki, widać kłębiące się zewsząd opary. Wyjątkowo cienka warstwa skorupy ziemskiej sprawia, że w niewielkim stopniu jesteśmy dopuszczeni do poznania tajemnic głębi naszej planety. Przez wiele lat, mieszkańcy tych okolic wykorzystywali naturalną energię ciepłą do ogrzewania domów i gotowania jedzenia. Teraz wprowadzono pewne ograniczenia, ponieważ nadmierne zużycie tej energii przyczyniło się m.in. do zmniejszenia częstotliwości erupcji gejzerów.

W tej części Nowej Zelandii ziemia jest niespokojna. W odległości kilkudziesięciu kilometrów od Rotorua wznoszą się trzy wulkany. Jeden z nich – Ruapehu, ostatni raz wybuchnął trzy lata temu. Klasyczne stożki wulkaniczne dominują nad okolicą, ponad szmaragdowymi wodami jeziora Taupo. Doprawdy, niezapomniane to widoki!

Na naszą górską wspinaczkę wybraliśmy jednak inny wulkan,

Taranaki, położony nad Morzem Tasmana, niedaleko miasta New Plymouth. Na Taranaki podchodzi się przez gęsty busz, który w miarę wzrostu wysokości staje się coraz rzadszy, aż w końcu przechodzi najpierw w obszar porośnięty trawą, a potem piarżyste zbocze. Pnąc się w górę, trzeba było przejść przez „gęstą śmietanę” chmur, ponad którymi świeciło już słońce. Naszą wędrowkę musieliśmy, niestety, zakończyć tuż pod szczytem. Bez raków i czekana dalsza wspinaczka po polach śnieżnych była niebezpieczna. Usiedliśmy więc na kamieniach, podziwiając piękno natury i napawając się ciszą. Słońce chyliło się ku zachodowi, poniżej ścieliły się białe obłoki. Wtedy Grześ opowiedział mi o rzadko spotykanym zjawisku w górach, zwanym widmem Brockenu. Jest to powiększony cień ludzki widoczny na chmurach, otoczony barwną aureolą. Z tym zjawiskiem związana jest tatrzańska legenda. Kto pierwszy raz zobaczy widmo, jest to znak, że duch gór nad nim czuwa. Drugie spotkanie jest ostrzeżeniem, by więcej nie chodzić w góry. Kto po raz trzeci spotka widmo, pozostaje w górach na wieki.

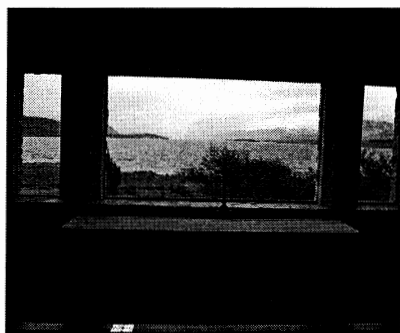
Schodząc w dół – może nie uwierzycie – spotkaliśmy ducha gór.

Nowa Zelandia może zadowolić nie tylko tych, którzy lubią chodzić z głową w chmurach. Park Narodowy Abel Tasman jest uroczym miejscem dla zwolenników spędzania wakacji nad morzem. Wzdłuż zatoczek o złotych plażach i błękitnych lagunach wiedzie szlak turystyczny, którego przejście wymaga kilku dni. Dla bardziej „wybrednych” jest atrakcyjna oferta przebycia tej drogi płynąc kajakiem po morzu. Z braku czasu wybraliśmy wariant pośredni. Pierwszego dnia przeszliśmy pieszo do zatoki Appletree Bay, gdzie na noc założyliśmy mały biwaczek. Zaś następnego dnia pływaliśmy kajakiem na otwartym morzu, walcząc z morskimi grzywami, a w osłoniętych zatoczkach delektując się pięknem lazurowego morza, ciszą i spokojem... Spokojem, spokojem..., którego tak wiele na mało zaludnionych i oddalonych od reszty świata wyspach.

Znacznie dalej na południe od Abel Tasman, położone jest jedno z najbardziej podziwianych miejsc na ziemi – fiordy nowozelandzkie. Milford Sound należy do najpiękniejszych, a co za tym idzie, najczęściej odwiedzanych fiordów w Nowej Zelandii. Autorzy przewodników turystycznych zachęcają do odbycia rejsu statkiem po Milford Sound, nawet przy brzydkiej pogodzie, gwarantując przeżycia, których nigdy się nie zapomni. Ponieważ przez 200 dni w roku w Fiordlandzie pada deszcz, trudno się dziwić, że kiedy tu przyjechalśmy, również padało. Zawierając jednak rekomendacjom z przewodnika wyruszyliśmy małym stateczkiem w głąb 22-kilometrowego, wąskiego fiordu. Płynęliśmy wzdłuż pionowych, wysokich na ponad 1800 m skał. Szczyty gór ginęły gdzieś daleko w chmurach, wra-

żenie ich ogromu było momentami przytłaczające. Po skalnych ścianach gęsto spływały wodospady, z których 3/4 znika, kiedy deszcz przestaje padać. Zewsząd otaczała nas aura tajemniczości, „niedopowiedzenia”, jakby sama natura chciała coś ukryć przed człowiekiem. Następnego dnia kiedy nastąpił atmosferyczny cud w postaci pięknej, słonecznej pogody, powtórzyliśmy rejs. Jednak mimo lepszej widoczności, wyraźnie brakowało nam tej niepowtarzalnej atmosfery, której w żaden sposób nie da opisać – tam trzeba po prostu być, by ją poczuć.

W centralnej części Wyspy Południowej, pomiędzy wyżej opisanymi krainami, rozpościerają się Alpy Nowozelandzkie. Wśród majestatycznie wznoszących się gór, nad polodowcowym jeziorem Tekapo o mlecznozielonej wodzie, 100 lat temu wybudowano mały, kamienny kościółek pw. Dobrego Pasterza. W tej skromnej budowli jest coś, co dodaje jej wielkości – w miejscu ołtarza wstawiono duże okno, przez które widać góry i jezioro. Ołtarz jest więc dziełem wykonanym przez samego Stwórcę. Takiej bliskości Boga, chyba nie odczułam w żadnym innym kościele.



Ołtarz w kościele pw. Dobrego Pasterza

Kiedy człowiek ma dosyć przebywania sam na sam z przyrodą, może poszaleć w najbardziej zwariowanym miasteczku na półkuli południowej – Queenstown. Co drugi budynek w tym mieście obwieszony jest reklama-

mi, które zachęcają do korzystania z najbardziej wymyślnych atrakcji, przyczyniających się do wzrostu poziomu adrenaliny. W ofertach znajdują się: *bungy jumping*, czyli skok z mostu na linie z wysokości ponad 100 m; *skydiving* – skok na spadochronie z samolotu (na szczęście w towarzystwie instruktora); *white rafting* – pływanie pontonem po wzburzonych górskich rzekach; *shotover jet* – szalona przejażdżka łódką po wąskim kanionie, z prędkością ponad 70 km/h. A gdy ktoś już znuży te wszystkie rozrywki, organizatorzy proponują przelot rakieta. O tej ostatniej atrakcji przeczytaliśmy w ulotce, na której zamieszczono zdjęcia człowieka w kapsule rakiety, lecącej w górę... czyli chyba w kosmos... Trudno jednak powiedzieć, czy śmiałkowi zapewniono powrót na ziemię.

A co my wybraliśmy z tak bogatej oferty?... Skusiliśmy się na rajd łódką wzdłuż najeżonego skałami kanionu. Przejażdżka została efektownie zakończona obrotem o 360°, podczas którego łódka stanęła prawie pionowo, a wzburzona woda zalała wszystkich siedzących w środku, od stóp do głów. Kiedy zapytaliśmy kierowcy, jak mu się udaje przeżywać z tak dużą prędkością tuż przy skałach, nie uszkadzając przy tym łódki, odpowiedział, że czasami mu się to nie udaje – wystarczy tylko spojrzeć na jej boki. To był oczywiście żart, bo firma która organizuje *shotover jet* szczyci się bezwypadkową jazdą od 25 lat, tj. od czasu jej powstania.

Prawie pod każdym względem Nowa Zelandia wydaje się być naj..., także i wtedy, gdy zapragnie się zobaczyć wieloryba – bo niby dlaczego byśmy tego nie chcieli. Kaikoura w Nowej Zelandii jest miejscem, w którym prawdopodobieństwo spotkania olbrzymiego ssaka jest tak duże, że

jeśli z jakiegoś powodu nie uda się go jednak zobaczyć, organizatorzy zwracają 80% kosztów biletu. Ta ostatnia dogodność była dla nas dużym pocieszeniem, kiedy płynąc po raz pierwszy na wieloryba, znaleźliśmy się wśród nikłego procentu uczestników nieudanych „polowań”. Za to nasza druga wyprawa zaowocowała spotkaniem aż z dwoma „olbrzymami”.

Poszukiwanie wieloryba jest bardzo starannie przygotowywane. Najpierw dokonywane jest rozpoznanie z helikoptera, potem katamaran z uczestnikami wyprawy podpływa do miejsca, gdzie wieloryb był ostatnio widziany. Tu, dodatkowo zapuszczane są sondy, które mają za zadanie zlokalizowanie ssaka. A gdy wreszcie ktoś z radością zakrzyknie: „Jest! jest!”, wszyscy rzucają się na pokład z aparatami fotograficznymi, żeby zrobić dokumentację dla tych, którym po powrocie do domu będziemy opowiadać: „A myśmy widzieli wieloryba! Aha!”. Po wypełnieniu obowiązków, czyli zrobieniu ok. 100 identycznych zdjęć, na których wieloryb „wydmuchuje” parasol z wody, wszyscy czekają na najbardziej efektowny moment nurkowania. Wreszcie następuje upragniona chwila, kiedy wieloryb znużony dryfowaniem po wodzie, macha swoją olbrzymią płetwą i „daje nura” na głębokość, dochodzącą nieraz do 2000 m. A my?... Cóż, płyniemy dalej, żeby jeszcze popatrzeć na wesoło baraszkujące delfiny.

To, co opisałam w tym artykule jest tylko częścią przeżytej przygody. Trudno jest pomieścić, nawet na wielu kartkach, ogrom wrażeń, jakie daje obcowanie z naturalnym pięknem. Poza tym, czy wszystko można przekazać słowami?...

Beata Chochół

ZDROWIE

Depresja



W codziennej rozmowie pojęcia smutek, depresja używamy zamiennie. W języku psychologicznym różnią się one jednak znacznie. Smutek – każdy dobrze zna to uczucie, często przychodzące „znikąd”, czasem przysłoni nasze pogodne spojrzenie na świat i ludzi niczym poranna, letnia mgiełka, to znów położy się ciężką chmurą na naszych myślach i uczuciach nie przepuszczając żadnych promieni słońca. Smutek, nawet ten głęboki przynależy ludzkiemu istnieniu na równi z radością jak dzień nocy, a poranek zmierzchowi. Smutek i radość zakreślają rozpiętość naszych przeżyć.

Depresja natomiast, inaczej melancholia, jak mówiono przez wiele stuleci jest chorobą, często bardzo ciężką, czyniącą życie koszmarem, a niekiedy przekreślającą je przez najtragiczniejszy akt – samobójstwo. W Europie każdego roku ok. 4% mieszkańców zapada na depresję. W Polsce stanowi to blisko 1,5 mln ludzi. Ilość zamachów samobójczych przekracza 30%. Depresja to nie tylko głęboki smutek dostrzegalny w wyrazie twarzy, spojrzeniu, ciężkim kroku i pochylonej sylwetce, lecz wiele innych objawów czyniących życie ludzkie trudnym do zniesienia. Zanika energia życiowa – każda czynność wydaje się ponad miarę możliwości. W ciężkiej depresji utrzymanie higieny, przygotowanie posiłku, wykonanie prostych czynności wokół siebie przekracza siły chorego. Równocześnie wszelkie działania wydają się być pozbawione sensu, znikają cele, dążenia, plany, a wokół roztacza się przeraźliwa pustka ograniczona nieprzenikalną, czarną ścianą. Myśli płyną leniwie, często w głowie powstaje pustka. Jakże często inteligentny, błyskotliwy człowiek nie umie rozwiązać najprostszych problemów. Gospodyni „nie umie” gotować obiadu itp.

Na tym tle rodzi się przejmujące poczucie winy, a często grzeszności, zwłaszcza u ludzi wierzących. Dotychczasowe życie wydaje się jednym pasmem niepowodzeń, błędnych decyzji, zaprzepaszczonej szans. Przyszłość budzi lęk i grozę. W tym klimacie zanika nadzieja na możliwą poprawę, powrót pogody ducha i codzienną aktywność. W takiej egzystencjalnej atmosferze

śmierć wydaje się być wybawieniem, oczekuje się jej, a często samemu zadaje.

Odmalowany w wielkim uproszczeniu obraz depresji endogennej nie zawsze bywa tak tragiczny. Lżejsze jej postaci bywają uważane przez chorego i jego otoczenie za wyraz lenistwa, gnuśności i braku ambicji. W swoich konsekwencjach te lżejsze formy mogą być równie tragiczne, a brak zrozumienia ze strony najbliższych potęguje poczucie osamotnienia i winy. W takich przypadkach otoczenie chorego jest zaskakiwane samobójstwem kogoś pozornie zdrowego i „normalnego”. Do charakterystycznych cech depresji endogennej należą dobowe wahania nastrojów – najgorsze są poranki. Rozpoczynający się dzień budzi lęk, przytłacza, wydaje się nieść zagrożenie. Zwykle około południa, bądź później przygniaty ciężar porannych godzin ustępuje, koloryt psychiczny nieco rozjaśnia się, aby w godzinach wieczornych przynieść odprężenie. W dniu następnym wszystko powraca do poprzedniego stanu. Uporczywe zaburzenia snu, czy to pod postacią trudności w zasypianiu czy wczesnego budzenia się, a niekiedy męczących koszmarnych snów również należą do obrazu depresji. Odmianą złożonym zagadnieniem jest współwystępowanie depresji i nadużywanie alkoholu. Zachodzi tu wiele złożonych powiązań – wspomnę jedynie o dwóch. Osoba cierpiąca z powodu depresji może sięgać po alkohol dostrzegając w nim „lek”, który chociaż na krótką chwilę pozwala wyrwać się z beznadziei i bezdenne smutku, aczkolwiek doznania te z jeszcze większą siłą powracają po ustaniu działania alkoholu. W drugim przypadku osoba uzależniona od alkoholu po dłuższym picu wśród objawów abstynencyjnych przeżywa depresję, poczucie winy ze świadomością samozniszczenia siebie. W takich stanach również często dochodzi do prób samobójczych.

Na koniec kilka optymistycznych słów. Depresja, jak każda choroba może być skutecznie leczona. Jest dostępnych wiele leków mogących przynieść ulgę w cierpieniu. Depresja jest jednak chorobą nawracającą jak wiele innych, np. choroba wrzodowa, astma, łuszczyca. Istnieją również leki zapobiegające tym nawrotom. Głównym problemem pozostaje jednak rozpoznanie choroby i podjęcie leczenia, bowiem depresja to równocześnie choroba duszy i ciała.

dr Józef Jarosz

Kronika



Do grona Dzieci Bożych przez Sakrament Chrztu Świętego zostali włączeni:

Maciej Antoni Rudnik (16.01.1999 r.); Aleksandra Alicja Kozenacka (17.01.1999 r.); Sabina Julia Kozynacka (19.02.1999 r.).

Cichońska (26.12.1998 r.); Walenty Czaja (28.12.1998 r.); Jan Kościelnicki (11.01.1999 r.); Jan Bernard Szperlak (19.01.1999 r.); Jan Adamski (26.01.1999 r.); Adam Jacek Miksa (31.01.1999 r.); Adam Czesław Skawiński (13.02.1999 r.); Franciszek Drewniak (19.02.1999 r.).

Do wieczności odeszli:

Stefania Filipowska (9.12.1998 r.); Bronisława

Opracował: O. Jacek Koman

ZEBRANIE KOMITETU Budowy Wodociągu i KANALIZACJI

Dwie sprawy zdominowały zebranie Komitetu, które odbyło się dnia 14.III.1999 roku: (1) które budynki zostaną podłączone w pierwszej kolejności do budowanej sieci i kiedy to nastąpi; (2) czy opłaca się płacić składki w terminie, a jeśli tak, to co robić z tymi, którzy albo jeszcze nie przystąpili do Komitetu, albo przystąpili, ale nie opłacają w terminie składek. Odpowiedź na pierwsze pytanie jest – przynajmniej w części – jednoznaczna. Wiadomo już, że w pierwszym etapie inwestycji, który realizowany będzie w przyszłym roku sieć wodociągowa będzie prowadzona między kościołem a cmentarzem do ulicy Na Polach, w prawo do ul. Ojcowskiej i wzdłuż Ojcowskiej w kierunku północnym, natomiast sieć kanalizacyjna – wzdłuż ulicy Jasnogórskiej, Chełmońskiego i Ojcowskiej w kierunku północnym. O tym, które obszary i w jakiej kolejności będą przyłączane w następnych etapach postanowi Komitet, biorąc pod uwagę wielkość zgromadzonych środków finansowych w przeliczeniu na długość instalacji. Oznacza to, że kolejne ulice będą tym wcześniej przyłączane, im ulica krótsza i im więcej osób na danej ulicy regularnie opłaca składki. Jest to dość specyficzny przykład samorządności, albo raczej solidarności lokalnej. Nie tylko ważne jest, czy ja opłacam składki w terminie, ale również czy tak samo postępuje mój sąsiad.

Problem zdyscyplinowania osób nie płacących składek zdominował drugą część zebrania. Wiadomo, że z jednej strony koszt inwestycji będzie znacznie większy od zgromadzonych dotychczas funduszy, a z drugiej strony dopłaty z budżetu miasta zależą od wysokości kwot zgromadzonych przez sam Komitet. Istotne jest więc regularne dokonywanie wpłat przez wszystkich. Niestety z podanych na zebraniu informacji okazuje się, że ok. 1/3 członków nie płaci składek. W toku dość burzliwej dyskusji zgłaszane były kolejne propozycje jak zaradzić tej sytuacji, ale żadna z nich nie została przyjęta. Poprzestano w końcu na istniejącym zapisie w statucie, który mówi, że osoby, które nie płacą składek w terminie muszą płacić ustawowe odsetki. Nie wiem, ile wynosiły odsetki wcześniej, w tej chwili – z tego co się dowiedziałem na zebraniu – jest to 36% w skali rocznej. Gdyby przyjąć, że tak niskie odsetki obowiązywały przez dwa ostatnie lata, to osoby, które nie wносиły opłat w roku 1997 musiały teraz zamiast 360 zł zapłacić ponad 590 zł!

Jak państwo widzicie, regularne opłacanie składek leży w naszym wspólnym interesie: nie dość, że mniej będziemy musieli wpłacić do kasy, to jeszcze powiększamy nasze szanse na wczesne przyłączenie do sieci wodociągowej i kanalizacyjnej, czego Państwu i sobie życzę.

Ryszard J. Gurbiel

Skład Redakcji: Beata Chochół (red. techniczny), Adam Fałowski, Barbara Gierat, Ryszard Gurbiel (red. odpowiedzialny), Iwona Misztal, Paulina Rozmus, Kazimierz Sikora

Adres do korespondencji: Ryszard Gurbiel: 31-344 Kraków, ul. Ojcowska 18 (lub bezpośrednio na adres Kościoła: ul. Ojcowska 1)